№ 59

ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE.

NIEDZIELA 26 LIPCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

OBŁĄKANY.

POWIEŚĆ Z DZIEŁ KAROLA NODIER.

(Ciąg dalszy.)

— Jak-to! Jasiu, — rzekła, — przyjmujesz podróżnego, nie ofiarowawszy mu owoców i mleka, nie poprosiwszy, aby raczył wypocząć pod naszą wieśniaczą strzechą!

— Ach! Pani, — zawołałem, — nie łaj go; chwilę dopiero tutaj jestem, a jego przyjęcie tak mnie wzruszyło, że nigdy o niem nie zapomnę!

Jaś nie słyszał nawet matki. Znowu wpadł w zadumanie. Założył na krzyż ręce, zwiesił głowę na piersi i szeptał z cicha jakieś słowa bez związku, których wytłómaczyć sobie nie mogłem.

Uprzejma owa kobieta wprowadziła mię do obszernej i błyszczącej czystością izby. Prosiła, abym zasiadł na stołku, ładnie wyplecionym żółtą i błękitną słomą, a sama zaczęła wyganiać z drugiej izby gromady ptasząt polnych i leśnych, których widok mój bynajmniej nie spłoszył. Mile było patrzeć, jak słuchały jej głosu i skinienia; tak były zupełnie oswojone.

Znowu mię prosiła, abym raczył czem się posilić, a gdym jej za wszystko podziękował, spytała: Czemże przynajmniej można Panu służyć w białym leśnym domku?

— Właśnie to oświadczał Pani synowi, kiedyś nadeszła, — odpowiedziałem; — lecz patrząc na niego, o wszystkiem zapomniałem. Biedny chłopczyna zdaje się być niezmiernie smutny! Czy dawno już w takim zostaje stanie?

— Nie, Panie! — odpowiedziała, wielką łzę obcierając, — i to nawet nie trwa ciągle. Jest wprawdzie zawsze smutny, równie smutny jak jest dobry, biedny mój Jasio; lecz zachowuje zupełną przytomność w mowie i postępowaniu, kiedy pewne wyrazy, które, jak Pan łatwo zgadniesz, strzegę się przed nim wymawiać, na nowo wyobrażeń jego nie pomięszają. Dla czego te wyrazy takie sprawiają mu pomięszanie, tego ja nie wiem. Strzegę się ich tylko najstaranniej. Tak piękne obiecywał nadzieje! spodziewałam się, że będzie pociechą i chlubą mojej starości... gdy Bóg niespodzianie nawiedził mnie tem umartwieniem!...

Tu łzy jej obfitym puściły się strumieniem. Ścisnąłem przyjaźnie jej rękę, przepraszając, żem odnowił tak wielką boleść.

— Muszę Panu powiedzieć, kiedy jesteś tak łaskaw, że cię obchodzi stan mego Jasia, — rzekła spokojniejszym już głosem, — że mąż mój, Józef Montauban, był najlepszym cieślą z całej okolicy. Byliśmy dla tego bardzo ubodzy, bo w krytycznych tych czasach trudno było o robotę; chociaż ze znakomitszej pochodziłam rodziny, niżeli mój Józef, lecz ta przykrzejszy jeszcze hołd wypłacić musiała ówczesnym wypadkom. Nie wiedzieliśmy co począć, gdy wtem bogaty Pan z sąsiedztwa powierzył mężowi budowę wspaniałego domu, który Pan zobaczysz, skoro wyjdziesz z lasu, gdyż zdaje mi się, że przybywasz z Aval. Gdy ukończono wią-

zanie, biedny mój Józef, jako pierwszy majster, wlazł na sam szczyt, aby podług zwyczaju zasadzić wiechę, ozdobną w kwiaty i wstęgi. Już się na sam wierzchołek dostał, gdy wtem łata, którą na nieszczęście nasze zapomniano przybić, obsunęła mu się pod nogami. Tym sposobem zakończył życie. Pan Dubourg, który był i po dziś dzień jeszcze jest właścicielem tego domu, okazał się mocno dotknięty tak wielkiem nieszczęściem. Kazał wybudować dla mnie i mego syna ten mały domek, i oddał nam go w dziedzictwo; przeznaczył nam prócz tego pensyję, aby nam odtąd na niczem nie zbywało. Nie przestał na tem: zajął się wychowaniem Jasia, który miał wtedy dopiero lat pięć, i jednał sobie wszystkich serca milutką twarzyczką i przedwczesnym dowcipem. Jaś więc był wychowywany u Pana Dubourg, z równąż troskliwością i przez tych samych nauczycieli, co i powabna córeczka naszego dobroczyńcy, o trzy lata młodsza od mojego syna. Trwało to przez dziesięć lat; a jak wszyscy światli ludzie mówili, Jaś tak wielkie uczynił postępy, iż mógł chlubne miejsce zająć w towarzystwie i świetny los sobie zapewnić. Pan Dubourg był tak łaskaw przybyć do mnie i sam mnie o tem zapewnić; dodał przy końcu poważnym, lecz łagodnym głosem:

— Zgodzicie się jednak na to, matko Montauban, że czas już rozłączyć waszego Jasia z moją Rózią. Ma teraz lat szesnaście, Rózia już trzynaście skończyła. Oboje są blizcy wieku, w którym się miłość odzywa; chociaż wychowani jak brat i siostra, wiedzą jednak, iż żadne nie łączy ich pokrewieństwo; może nazbyt długo nawet zwlokłem uchronić ich niewinność od zwodniczych sideł tej namiętności. Trzeba więc, kochano przyjaciołko, abyś wzięła do siebie syna, dopóki nie obmyślę dla niego jakiego korzystnego miejsca. Nie dosyć na tem, trzeba, żeby dzieci nasze przyzwyczaiły się nie widywać się z sobą: nie tak im będzie bolesno, gdy później zupełny nastąpi rozdział. Ważne mam do tego powody, chociaż nic nie każe mi się domyślać, że między niemi coś więcej jak przyjaźń istnieje. Jaś jest anioł przywiązania i posłuszeństwa. Powiedz mu, że nigdy kochać go nie przestanę; niechaj macierzyńskie twoje serce wynajdzie jaki powód na usprawiedliwienie przed nim tego postępowania. Łatwo ci będzie jakową pozorną przytoczyć przyczynę; a jeżli go zdołasz przekonać, że moje szczęście od tego zależy, jestem pewny, że chętnie na to przystanie. Gdyby jednak nie było innego sposobu, przytocz mu własne moje wyrazy. Powiedz mu, że sława córki jest najdroższym skarbem ojca; że opinija ludzka przymusiłaby go później do sroższej daleko ofiary. Wymóż na nim, aby się nie pokazywał w Chateau-Dubourg; powiedz mu, że wezmę to za dowód największej wdzięczności, nie zaś za niewdzięczność. Słowo jeszcze, — mówił dalej. — Ponieważ widok mego domu mógłby w nim wzbudzić żal i zakłócić błogą spokojność, której kosztować będzie przy tobie; wymóż na nim, aby nie chodził dalej w las, jak tylko po miejsce zwane Zatoką, tam gdzie bór rozciąga w prawo i lewo długie ramiona zieloności, opasując przezroczystą łachę, którą Ain w biegu swoim tworzy. Wiesz dobrze, iż minąwszy dopiero gaik brzozowy, dają się postrzegać dokładnie kraty mego zwierzyńca; — co do posłuszeństwa, raz ci jeszcze powtarzam, nie troszcz się o nic! Wolałby raczej umrzeć, niżeli złamać dane słowo!...

Słuchałam Pana Dubourg niezmiernie pomięszana, bo umysł mój nigdy dotąd nie zastanowił się nad niebezpieczeństwem, którego on się obawiał; a jednakże to, co mi powiedział, tak mi się zdawało być rozsądnem, że za całą odpowiedź znalazłam tylko wyrazy dziękczynienia i uległości.

— Wiem dobrze, — dodał, wstając, — że ta zmiana przyczyni ci wydatku, lecz to długo nie potrwa, gdyż wszyscy moi przyjaciele z jak najlepszej strony znają Jana, i mam nadzieję wkrótce korzystne obmyślić mu miejsce. Tym czasem racz przyjąć w dowód mojej przyjaźni te sto ludwików, aby w małej waszej samotni nie zbywało na wygodach, do których Jaś jest przyzwyczyjony; prócz tego w każdym przypadku rachuj śmiało na mnie.

Położył woreczek ze złotem i odszedł, nie chcąc żadnym sposobem, na najusilniejsze moje nalegania, zabrać go nazad z sobą.

W tym właśnie czasie, Jaś przybywał corocznie przepędzić kilka tygodni przy mnie; przynosił ze sobą książki, zielniki, naukowe narzędzia. Tak byłam wtedy szczęśliwa! Nie upatrywał więc nic nadzwyczajnego w tych poruszeniach; pochlebiałam

sobie nawet, że tym razem pragnął ich jak zwykle. Nigdy nie był tak piękny, tak ożywiony, bardziej zadowolony życiem, chociaż od dzieciństwa skłonny był do dumania i tęsknoty. Przez kilka dni wszystko szło jak najlepiej. Smuciłam się tylko, że nieustannie pracuje, lękając się, że zdrowie jego nie wytrzyma ciągłej pracy. — »Będziesz miał dość czasu, — rzekłam mu pewnego wieczora, — szperać w twoich ulubionych autorach! Nie porzucisz mnie już, dopóki nie będziesz miał miejsca.« — I powiedziałam mu wszystko, co mówił Pan Dubourg.

Gdym skończyła, Jaś się uśmiechnął, nic nie odpowiedział, odmówił modlitwy, uściskał mnie, i położył się spać najspokojniej.

Nazajutrz i dni następnych był smutny. Nic nie gadał. Nie zadziwiało mnie to wcale. Nie raz go takim widziałam.

Przy końcu tygodnia jednakże (będzie temu cztery lata), zdało mi się, że rozum jego zaczynał się obłąkiwać. Nieszczęsna matka! przewidywałam to, gdy tak uporczywie przykładał się do nauk. Od tej chwili porzucił książki, lecz już było zapóźno. Gadał wyrazy żadnego nie mające znaczenia, lub mające znaczyć coś, o czem ja nie wiedziałam. Smiał się i płakał bez żadnej przyczyny; lubił być zawsze sam; przemawiał do drzew, do ptasząt, jak gdyby go zrozumieć mogły; lecz co najosobliwsza i czego nie śmiałabym Panu powiedzieć, gdybyś sam już coś podobnego tutaj nie widział, zdaje się, iż ptaki go rozumieją, tak snadno dają mu się chwytać. Proszę Pana, powiedz mi, czy to niepodobna, że Bóg, który dał tym biednym stworzeniom instykt uciekania przed nieprzyjacielem, dozwala im poznać niewinną istotę, niezdolną chcieć im szkodzić, która je lubi jedynie dla tego, aby je lubić?...

Opowiadanie to niezmiernie mnie wzruszyło; spodziewam się, że równyż skutek sprawiłoby i na czytelniku, gdybym je zdołał oddać w wymownej prostocie, jak je z ust nieszczęśliwej matki słyszałem. Przesunąłem rękę po czole, jak gdyby chcąc odpędzić troskę, która na niem osiadła, potem zasłoniłem oczy, aby się ustrzedz bolesnego tłumaczenia, które całkiem zdawało mi się być niepotrzebnem.

— Nadużyłam pańskiej cierpliwości, — rzekła matka Jasia. — Pomówmy teraz o tem, czego Pan od nas żądasz. Wszystko w tej chacie jest na pańskie usługi.

— Nic, zupełnie nic nie potrzebuję, — odpowiedziałem rozczulony. — Chciałem tylko spytać o drogę, która przez las prowadzi do Pana Dubourg; bo jeszcze dzisiaj muszę tam być i nazad powrócić.

— Nie mogłeś Pan lepiej natrafić; droga idzie właśnie koło naszej chaty, lecz jest nieco przytrudna. Jaś Pana przeprowadzi. Nie może przeżyć ani jednego dnia, żeby nie poszedł ponad łachę, aż po pewne miejsce, które zabroniłam mu przechodzić; o tej właśnie godzinie wychodzi na swe polowanie. Proszę tylko Pana, nie wspominaj mu o zamku, gdyż mi się zdaje, że przypomnienie dawnego pobytu w domu naszego dobroczyńcy szkodzi biednemu chłopczynie.

— Jakimże sposobem zdołam Pani okazać wdzięczność za tę przysługę?

— Oh! tylko Pan o tem nie wspominaj, bo to mnie martwi! Nic nie potrzebujemy, sami owszem jesteśmy w stanie dopomódz biednym podróżnym, którzy czasami zabłądzą w tę samotną drożynę. I owszem, bardzo Pana proszę, ale Pan pamiętaj, że to za ważny kładę warunek, proszę Pana jak o największą łaskę, abyś nie przychylił się do prośby Jasia, gdyby się ośmielił o co prosić, bo to, o co on prosi, zatrważa mnie bardzo. Czy Pan mi dajesz słowo?

Ani się wachałem uczynić zadosyć jej żądaniom. Klasnęła natychmiast dwa razy w ręce, a wszystkie ptaszęta, które pierwej już widziałem, świergocąc zaczęły się cisnąć do drzwi.

— Ach! to jeszcze nie wasza kolej, — rzekła, — jakżeście niecierpliwe! jeszcze wam nie ugniotłam siemienia i nie pomyłam korytek.

Potem klasnęła raz trzeci.

Na to hasło Jaś wszedł, skłonił się, siadł matce na kolanach, i pieszczotliwie rzucił rękę na jej szyję.

— Otóż tak jesteś piękny i grzeczny! — rzekła matka, całując go w czoło. — Patrz Pan, czyż nie powabne mam dziecię! łagodne, posłuszne dziecię, które całe życie będzie mojem dziecięciem, jak gdybym je od kolebki wychowała! A co! czy godna jestem litości?

Płakała jednak.

— Posłuchaj Jasiu. Trzeba zażyć trochę ruchu, jeszcze dzisiaj nie biegałeś, chociaż powietrze tak jest łagodne i słońce tak mile świeci! Jeszcze nigdy nie było tak dużo motyli! Wiesz, że mamy dwa zielone czyżyki z ostatniego gniazda, dla których trzebaby poszukać samiczek; obiecałeś także złapać szczygła, na miejsce naszego staruszka, który zdechł przed tygodniem.

Jaś gestami i radosnym krzykiem wyraził, że matka uprzedziła jego chęci.

— Idź więc, włóż czarne kamaszki i czerwoną czapeczkę ze złotym kutasem. Trzeba się pięknie ubrać, bo zaprowadzisz tego Pana ponad łachę Ainu, i tam zaczekasz na niego, polując jak zwykle. Nie potrzebuję powtarzać, żebyś mnie zmartwił, gdybyś poszedł z nim dalej.

Z ciekawością i zajęciem patrzałem na Jasia, chcąc postrzedz, jakowe wrażenie uczyni na nim ten zakaz, gdyż zdawało mi się, iż z zapowiadania matki odgadłem część jego tajemnicy. Wzmianka o zatoce Ainu nie zdawała mu się nic więcej przypominać. Poszedł włożyć szkarłatną czapeczkę i czarne kamaszki, powrócił, uściskał dobrą matkę i zaczął biedz przedemną gwiżdżąc, a wszystkie ptaszki z lasu śpiewając leciały za nim. Zdaje mi się, że chętnie byłyby posiadały na czapce i ramionach Jasia, gdyby ich mój widok nie odstraszał.

(Dokończenie nastąpi.)

B A B E L.

Jakże-to boska jest ta wiara, która z nadziei uczyniła cnotę! *Baronowa Krüdener.*

Żałuj przeszłości, korzystaj z teraźniejszości, a przyszłości się obawiaj. *Święty Grzegorz.*

Czarowny puhar życia po brzegach się tylko pieni. *Byron.*

Człowiek zawieszony jest w teraźniejszości, pomiędzy przeszłością i przyszłością, jak skała pomiędzy dwoma przepaściami: za nim, przed nim, wszystko jest ciemne; zachwyci czasem zaledwie kilka widziadeł, występujących z obu przepaści, które wzniosą się na chwilę ponad ich powierzchnią, i zagłębiają się znowu na zawsze.

Chateaubriand.

Jakże spojrzenie pyszne i męzkie jest pięknem, kiedy zarazem jest skromne i czyste! widać w niem promień owej wstydliwości, która może odczepić się od wieńca świętych dziewic, aby ozdobić męzkie nawet czoło. *Staël-Holstein.*

Miłość jest więc najpierwszą i najbardziej zachwycającą ze wszystkich namiętności; sława, duma, wielkość, są niczem obok rozkoszy kochania i bycia kochanym. *D'Arnaud.*

Och! te namiętności, te straszliwe namiętności, jakże one umieją potokami zlewać na nas radość lub boleść, otwierać nam niebiosa, lub w bezdennych pogrążać przepaściach! *Pani Cottin.*

Poeta jeden tylko wzór mieć powinien, naturę; jednego przewodnika, prawdę. Nie powinien pisać podług tego co pisano, lecz podług swej duszy, podług swego serca. Ze wszystkich ksiąg krążących w rękach ludzkich, dwie tylko zgłębiać powinien, Biblię i Homera. Bo te dwie szanowne księgi, najpierwsze ze wszystkich starożytnością i wartością, równie prawie stare jak świat, obie są dwoma oddzielnemi światami dla myśli. W nich bowiem prawie całe znajduje się stworzenie uważane pod dwoistym względem: w Homerze jaśnieje jenijusz ludzki, w Biblii duch Boży. *Victor Hugo.*

Przyzwyczajaj się do humoru innych, nie tusząc sobie, że oni przyzwyczają się do twojego.

Święty Augustyn.

Najstraszliwsze niepokoje boleści byłyby jeszcze rozkoszą, porównane z ową pożerającą czczością, z ową dziką pustynią serca, którego wszystkie uczucia żadnego nie mają celu. Któżby chciał być skazanym wiecznie wpatrywać się w niebo bez słońca i chmur? *Byron.*

Miłosierdzie umieszczone jest jak studnia obfitości w pustyniach życia. *Chateaubriand.*

Natura podobna jest do religii: ma tajemnice, które wielkim tylko powierza boleściom.

Baronowa Krüdener.

O miłości! niewinności! pewnie z waszego-to wiekuistego połączenia wiekuista tworzy się szczęśliwość. *Pani Cottin.*

Prawdziwa wielkość duszy zależy na mocy duszy, a moc duszy jest-to cnota. *Pani Staël-Holstein.*